

Patrycja Paliczka

„Po trupie”

Wóz podskoczył kolejny raz na wyboistej drodze; woźnica nie miał zamiaru zatrzymać się, ani sprawdzać, po czym właściwie przejechał. Spieszno było mu do wyznaczonego celu. Po drodze minął kilka znaków, dobitnie świadczących o tym, że zmierza we właściwym kierunku.

Chatka stała niedaleko urwiska. Na wielkiej skarpie przypominającej wyglądem kurzą nóżkę. Ani samo miejsce, ani jego położenie nie zachęcało do odwiedzin, więc siłą rzeczy starowinka miała niewielu klientów. Kilku z nich mimo to udało jej się odstraszyć.

Woźnica z ulgą dostrzegł, że zbliża się do celu; zatrzymał konia w odpowiedniej odległości wyznaczonej przez niewidoczne dla człowieka, diabelskie kręgi, rzucił lejce i ostrożnie zsiadł z wozu.

Ostatnie, czego teraz potrzebował, to kolejny atak rwącego bólu w dole pleców, który obudził go dziś wcześniej rano. Skrzywił się, gdy mimo wszystko lekko dały o sobie znać. Zdjął z wozu spory worek, zarzucił go na lewe ramię, i wydając z siebie nieokreślone dźwięki, ni to sapanie, ni to parskanie, ruszył wolno w stronę chatki.

- Zatrzymaj się, głupcze! – rozległ się ze środka stanowczy głos. Tym razem woźnica sapnął, wyraźnie niezadowolony.

- Czy my naprawdę musimy? – zapytał. Położył worek na ziemi, wyciągając z kieszeni kraciatą chustę i ocierając nią spocone czoło.

- Musimy...

Woźnica wydobyl z kieszeni dwie chude kosteczki – pozostałość wiewiórki, którą tego dnia zjadł na obiad – ostrożnie umieścił w chusteczce i wraz z kilkoma ziołami, których nazw nawet nie potrafił wymówić, wrzucił do palącego się nieopodał ogniska, pilnowanego przez dwóch nieogolonych i groźnie wyglądających zbirów.

- Natura wymaga od nas ofiary – wyszeptał, sam nie wierząc w to, co robi.

Wtedy drzwi chaty otworzyły się na oścież. W progu stała niska kobiecina, owinięta ciemną chustą.

*

Nie było go tak długo, bo przebywał w mieście. Długo pracowali, by w ogóle ono powstało.

Najpierw nie było nic.

Ostatni wybuch zabił tych, którzy skryli się pod ziemią. Sprawił, że te kilka miast, w których widać było szkielety domów, zawalone mosty oraz drogi, po prostu rozpląnęło się w powietrzu. Przetrwali tylko ci, którzy schronili się w lesie.

Ziemia stała się jałowa, zewsząd otulała ją mgła. Gdy się roziała, okazało się, że nie ma na niej zupełnie nic. Natura okazała się znacznie potężniejsza od jakiegokolwiek bomby.

Ludzie zaczęli pomału wierzyć, że tylko ona jest w stanie ich ochronić. Odprawianie obrządków stało się ich codziennością. Nie wszyscy łatwo się poddali; część ciągle walczyła o istnienie dawnego świata, inni próbowali dostosować się do nowego.

Ci pierwsi mieszkali w kanałach tak długo, jak tylko byli w stanie. Kiedy wyszli, na wpół ślepi i głusi, zaszyli się w pobliskich bunkrach na skraju lasu.

Ci drudzy zbudowali chaty z drzew, otoczyli je drewnianą palisadą i na nowo nauczyli się sadzić rośliny oraz hodować zwierzęta potrzebne im, żeby przeżyć.

Często opiekowali się uciekinierami z kanałów, którymi nie miał kto się zająć. Ganili ich, gdy tamci, zamiast pracować, stali, wpatrując się w poszarzałe niebo. Coraz rzadziej można było dostrzec słońce. Czasem padał czarny deszcz. Uprawy marniały z dnia na dzień, ale nie na tyle, by nie dało się na nich przeżyć.

Czasem odważni kupcy udawali się do czarownicy, by przy pomocy ziół i zaklęć rozwiązała ich problemy. Czasem odnosiła sukces, a czasem prośba ludzi z góry była skazana na porażkę.

*

Woznica rozkaszał się na dobre; chustę pokryły liczne czerwone kropki, nim atak ustał i mógł ją schować z powrotem do kieszeni. Nie zwrócił uwagi na usta kobiety, które teraz zacisnęły się w cienką kreskę. Nie przyjmowała chorych; zaraza, która pojawiła się wraz z końcem cywilizacji, zbierała coraz większe żniwo. Nie było na nią żadnego znanego jej lekarstwa. Człowiek jednego dnia żył, a kilka dni później już go nie było. Nie odkryto ani jak przenosi się z człowieka na człowieka, w jakim tempie, ani co mogło ją wywołać.

Czarownica spojrzała na przybysza, a on skurczył się cały pod tym złym spojrzeniem. Rzucił worek na stół, z którego wysypały się przyniesione dary: kilka chudych wiewiórek i jedna dorodna kura. Czarownica skrzywiła się na widok tych pierwszych – miała dosyć wiewiórek na całe życie – oczy rozbłysły jej na widok tego drugiego. Nie co dzień można było zjeść dziś kurę.

Kiedy zabrakło pieniędzy i nie miał kto ich wydrukować, gdyż nie działała już żadna mennica, handel wymienny, jak dawniej, kwitł.

W zamian oferowała ludziom różne usługi; czasem wskazywała na przyniesionej mapie miejsce, czasem szukała dzieci, lub zagubionych, cennych rzeczy. Czasem wymagano od niej czegoś znacznie trudniejszego. Ożywienia zwierzęcia, czy odszukania linii energii przedmiotu. Nigdy nie ożywiała ludzi. Aż – jak miała wkrótce się przekonać – do dziś.

Woźnica bez słowa wyszedł przed dom i wrócił po kilku minutach, niosąc w rękach podłużny pakunek. Ostrożnie położył go na stół.

- Gdzie?! – Fuknęła na niego stara, a jej oczy niebezpiecznie się zwężyły. – Nie przy jedzeniu, stary głupcze! – zawołała, wciskając mu w ręce misy po brzegi wypełnione ryżem i warzywami oraz ogromną wagę z bulionem. – Zabieraj się razem z tym. – Tymi słowami przegoniła go ze swojej chaty.

Odwinęła zabitego człowieka z koca i ułożyła go na plecach na stole. Dookoła poukładała kości znalezione w różnych miejscach, które następnie posypała mieszaniną ziół i przypraw wchodzących w skład jej zielnika. Nad głową denata zawiesiła czaszkę ozdobioną w kolorowe pióra. Tak dla lepszego efektu. Zamknęła oczy i zaczęła odmawiać sobie tylko znaną, pogańską modlitwę.

Nagle poczuła czyjeś palce na swoim gardle. Odsunęła się, próbując złapać oddech. Zabójca okazał się silniejszy. Z powodu braku dopływu tlenu do mózgu bezładnie osunęła się na ziemię.

Człowiek usiadł na stole i ze zdumieniem rozejrzał się dookoła. Młody mężczyzna nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Po kolejnej kłótni z ojcem z powodu jego alkoholowej libacji, wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Jego matka została, próbując go uspokoić. Kolejny raz okazała się być świetnym workiem do bicia. W domu był panem i mógł robić, co mu się podoba.

Młody mężczyzna miał tego serdecznie dość, więc zażył zdobytą nielegalnie truciznę, zwaną proszkiem voodoo, by jego ojciec uwierzył, że nie żyje. Kiedy stary zaczął przygotowywać mu pogrzeb, jego syn nagle się obudził i wymierzył mu karę. Wykorzystał do tego element zaskoczenia.

Bo jest zbyt słaby, by mierzyć się ze swoim ojcem. Ojciec jest wysoki i barczysty, on chudy, z trudem sięgający mu do połowy ramienia.

Syn nie przewidział skutków swego działania.

Ojciec usłyszał dochodzący z chaty krzyk. Wydawało mu się, że to skrzek czarownicy, która przejrzała wszystkie jego czarne sprawy. Niebo się zachmurzyło, spadł deszcz, który zalał podwórze, a po nim porywisty wiatr, unoszący w górę pierwsze jesienne liście. Gdzieś w oddali strzelił piorun. A potem drugi, donośniejszy. Pod woźnicą ugięły się nogi. Trząśnięcie jak galareta. Potem poszedł po rozum do swej pustej głowy. Nie odda tak łatwo swojej cennej skóry. O nie. Po jego trupie.

Wsiadł na wóz i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Nie dojechał nawet do końca skarpy, gdy przestraszył się wypatrzonego w krzakach, hałaśliwego ducha. Konie stanęły dęba i wraz z wozem wciągnęły go w bezdenną przepaść.